



Beata Ostrowicka, „Zjeść żabę”
Fragment

Rozdział 1

„Jak tam u ciebie?”. Trochę drętwo. Dopisałam „Hej”. „Hej. Jak tam u ciebie?”. Okej. Może być. Wysłać czy nie? Wysłałam.

Siedziałam tuż obok wejścia na plażę, przesypywałam piasek między palcami i próbowałam nastroić się pozytywnie do życia. Szło mi to zdecydowanie słabo, za to doskonale sypanie piasku na kupki. Już miałam trzy. Jedną ozdobiłam piórką, dwie pozostałe patyczkami.

To był mój czwarty dzień wakacji. Według matki wspaniałych.

Wspólny pokój, wspólne posiłki. Leżenie plackiem na plaży, ze dwa zachody słońca. „Julka, patrz, jak cudownie. W Krakowie nie ma takiego nieba”. Wizyta we Władku. Po krem z blokerami. I do bankomatu, bo zabrakło pieniędzy. „Oni tu wszyscy poszaleli. Wszędzie straszliwie drogo”.

Nudy, nudy, nudy.

I ciągle pilnowanie się, żeby nie doszło do żadnej awantury, żebym nie wybuchła.

Serce mi zatrzępotało, gdy zaśpiewała komórka. Tylko na jedną osobę miałam ustawiony ten dzwonek.

– Cześć – głos mi drżał.

– Cześć. Dostałem twojego esa – zaśmiał się cichutko. Lubiłam ten śmiech. Zawsze towarzyszył miłym słowom. Aż zastygłam w oczekiwaniu. – Śniłaś mi się dziś...

– Kamil... – Zatęskniłam naraz za nim tak bardzo, że aż mnie wszystko zabolowało. Jak dobrze, że wysłałam tego esa, a tak się nad tym długo zastanawiałam. Od wczorajszego popołudnia. Teraz plułam sobie w brodę, że nie napisałam wcześniej.

– Julka... Co porabiasz? Co u ciebie?

Westchnęłam. Bosz, niech te wakacje się skończą.

Niech już będzie wrzesień.

Niech już będzie tak, jak powinno.

– Siedzę na plaży. Lampy nie ma, ale jest ciepło – powiedziałam ożywionym głosem.

– U nas leje żabami.

– Szkoda.

– Szkoda – przytaknęła. – Ale i tak jest okej.

– Kamil?

– No? – mruknęła.

– A jak ci się śniłam? – zaryzykowałam pytanie.

Znowu się zaśmiał.

– Sen był absurdalny. Chodziliśmy po takich wielkich górach i każde z nas taszczyło swój rower.

Na hali była... zgadnij.

– Owca.

– Nie.

– Dwie owce.

– Pruska orkiestra. Wszyscy w pikielhaubach.

– Czym?

– Takich hełmach z antenką...

– I co? – Zaczęłam się śmiać.

– Grali dziarskiego marsza... Nam się chciało cholernie pić, zaczął sypać śnieg, gdzieś tam mignęli Kosma i Buba, a potem to mnie Nawrot obudził.

– I tyle? – Miałam nadzieję, że nie słyszał mojego rozczarowania.

– Tyle. Jak na mnie to i tak dużo. Mnie się nic nigdy nie śni – wyjaśnił, a ja pomyślałam, że to odwrotnie niż u mnie. Właściwie co noc mam jakiś sen. Rano pamiętam raczej wrażenie, nie obrazy. Lubię to uczucie.

– Co będziecie dziś robić?

– Nie mamy żadnych planów. Chłopaki chcą skoczyć do miasta...

– Mhm.

– Ale nic pewnego. Tu są quady, pewnie się wybierzemy. Dobra, muszę kończyć, Nawrot ma parcie na obiad, idziemy do tak zwanej cywilizacji. Hej.

– Hej – cmoknęłam i rozłączyłam się.

– Kamil do mnie zadzwonił – pochwaliłam się kundlowi, który przysiadł obok mnie. Wcześniej biegał za starszą parą, jeszcze wcześniej za dziewczyną z wielkimi, czarnymi kolczykami. Paskudne były. Takie niby-sułtanki. Za żadne skarby świata bym takich nie założyła. – Śniłam mu się. A teraz szukaj nowego pana i możesz mu o tym powiedzieć. – Położyłam się na piasku, z jedną babką pod głową, w charakterze poduszki.

Łatwo nam się rozmawiało. Znacznie łatwiej niż ostatnio w Krakowie. Ale czy to była rozmowa? Zdecydowanie nie. Taka wata słowna. Kiedyś rozmawialiśmy inaczej.

Ale mu się śniłam, ha!

„Pojedziemy na Hel. Na tydzień, może na dłużej. Już wszystko załatwiłam”, dowiedziałam się w kwietniu od matki. Udawałam, że nie słyszę, bo byłam zajęta wkuwaniem. Zresztą w ogóle byłam mało komunikatywna. Matka kładła to na karb zbliżających się egzaminów do liceum.

Prawda była taka, że wtedy zaczęło się coś psuć między mną a Kamilem.

Myślałam, że pojedziemy przynajmniej do Władysławowa, ale okazało się, że matka wybrała jakąś dziurę. „Potrzebny nam spokój, nie tłumy”. Najpierw szukała kwatery w Kuźnicy, ale były problemy, ostatecznie zaklepała miejsca w Chałupach. „Dojedzie do nas moja koleżanka ze starej pracy. Pani Martyna. Z córką. Wiktoria. Były kiedyś u nas. Pamiętasz?”.

Nie pamiętałam. Ale dla niej to nie miało znaczenia. Podobnie jak to, że straszliwie nie chciałam z nią jechać, tylko z Kamilem i grupą jego znajomych – Piotrkim, Rymciem, Nawrotem, Kosmą i Bubą.

Przede wszystkim z Kamilem, z którym było nam ostatnio dalej do siebie niż bliżej. Czułam to przez skórę.

Od pół roku byliśmy razem i nie byliśmy. Bardziej to drugie. Coś się wypaliło. Brakowało tego czegoś, co powodowało, że rano budziłam się zadowolona... No, może przesadzam. Bardziej pozytywnie nastawiona do życia.

Nie spotykaliśmy się każdego dnia, nie całowaliśmy się co chwilę. Nie było setek esemesów wysyłanych codziennie. Jeszcze chodziliśmy po Krakowie, trzymając się za ręce, ale one już jakoś nie pasowały do siebie jak kiedyś. Jeździliśmy w weekendy na wycieczki rowerowe, ale już nie sami, najczęściej z jakimiś kumplami Kamila.

Jednego dnia go kochałam, drugiego żalowałam, że go w ogóle spotkałam, bo wtedy nie byłoby tej nerwówki, tych wątpliwości. Ciągnęła huśtawka emocjonalna mnie dobijała.

I, przez ten cały czas, narastało we mnie poczucie winy. Że może to przeze mnie, że może coś źle powiedziałam, albo nie powiedziałam tego, co trzeba. Że to ja wszystko spieprzyłam, że to przeze mnie.

Na początku tak nie było. Na początku wszystko pasowało. My do siebie, świat do nas.

Kiedy zaczęły się drzazgi?

Czy wtedy, gdy nie załatwiłam sprawy z Marleną, choć powinnam? I tkwiło to między nami? Najpierw w kłótniach, potem w milczeniu?

Czy wtedy, gdy usiadłam do jego kompa i na Skypie znalazłam rozmowę z jakąś Zulejką? Kamil tłumaczył, że to dawna kumpela, jeszcze z podstawówki, teraz mieszkająca w Irlandii.

Jego denerwowało, że tyle mówiłam, tyle planowałam, a gdy przyszło co do czego, to stchórzyłam. Mnie denerwowała liczba spraw, które Zulejka miała do niego – tłumaczenia matmy, rozwiązywanie zadań z fizyki, ważne pytania z rodzaju „a co tam w Polsce?”.

No a później te wakacje... Próbowałam rozmawiać z matką. „Chyba oszalałaś. Nie ma mowy”. Argument, że jedzie Buba, matki nie przekonał. Nie powiedziała tego, ale wyraźnie chodziło o seks. Przecież taki wyjazd to murowana ciąża. Pojadę z Kamilem i pierwsze, co zrobimy, to skorzystamy ze swobody i pójdziemy do łóżka.

Oczywiście nieodpowiedzialnie, bez zabezpieczenia.

Jakbyśmy nie mogli tego zrobić już z milion razy w Krakowie.

Byliśmy razem od mojej drugiej klasy gimnazjum i poza pocałunki i przytulanie nie wyszliśmy.

I chyba już nie wyjdziemy. Skoro nie wyszliśmy, gdy między nami było dobrze, tym bardziej tego nie zrobimy, mając problemy ze zwykłą codziennością.

Ale tego jej nie mogłam powiedzieć. Zamiast tego powiedziałam, że wolę zostać w domu, że w Krakowie też wypocznę.

„We wrześniu zaczynasz naukę w liceum. Musisz mieć prawdziwe wakacje”.

Prawdziwe? Wakacje? Z nią? Będziemy razem pływać, opalać się? Kupować pierdoły? Może jeszcze dla ojca, co? Jakiś przezabawny, prześmieszny chiński statek z napisem „Chałupy”? Termometr z kotwicą? Obrazek z bursztynów? Albo muszlę?

I będziemy razem milczeć na temat tego, co wydarzyło się w naszej rodzinie? O tym, że ojciec nie mieszka z nami od kilku miesięcy, że tkwi w obskurnym, wynajętym mieszkaniu na Bieżanowie, „bo musimy od siebie odpocząć”. „Czas na pewne kroki”. „Separacja”.

Już przynajmniej przestali mówić, że to „może pomóc”.

Pomóc? Ciekawe w czym? I komu? Babci pomogło. Najbardziej to zdrowotnie. Najpierw jakoś tak przycichła i zaczęła czuć się słabo, potem się zmobilizowała i pojechała na dwa tygodnie do Holandii, skąd wróciła jeszcze bardziej cicha. Niewiele mówiła, ale między wierszami dało się wyczytać, że cudowny Władysław i jego cudowna żona mają takie same problemy jak moi niecudowni rodzice. Tylko tamci jeszcze mieszkają razem, starając się zachować pozory dla dobra małoletnich dzieci.

To trwanie ojca na drugim końcu Krakowa i tak było najlepsze, co mogło się wydarzyć z tego całego gówna. Bo brali jeszcze pod uwagę, żeby ojciec wyjechał do innego miasta, czy wręcz do Władysława...

Która godzina? Spojrzałam na zegarek. Za dziesięć minut powinnam być w garkuchni Kinga, naprzeciwko naszej kwatery. Matka umówiła nas tam na kawę. Z panią Martyną i Wiktoria, które przyjechały wczoraj wieczorem.

Z opowieści matki Wiktoria jawiła się jako grzeczna, dobra, uczynna. Rok młodsza ode mnie, ale „dojrzała emocjonalnie”. Już jej nie lubiłam.

Wstałam, otrzępałam tyłek i ruszyłam z plaży. Piknęła komórka. Esemes. Od Kamila. „Nawrot narzygał do szuflady □”.

Uśmiechnęłam się pod nosem. Nieźle chłopaki wymiatają w tej Sielpi. „Zazdroścę”. Odpisałam szczerze.

Pół roku temu dopisałam, że tęsknię i całuję.

Przeszłam przez tory i chodnikiem dotarłam do Kingi. Matka, w niebieskiej sukience, siedziała przy stoliku obok okna. Plażowa torba, czarne okulary na głowie, na szyi wisior z muszelkami, oczywiście nie mojej produkcji, tylko zakupiony na jakimś straganie na Kleparzu. Ohydny.

Matka w wersji wakacyjnej na full.

– Jak tam nad morzem? – ćwierknęła, poprawiając czarne włosy, według mnie zupełnie niepotrzebnie, bo te czarne druty tkwiły na jej głowie jak przyklejone.

– W porządku. – Usiadłam i przesunęłam serwetnik do siebie. Zastanawiałam się, czy potrafię zrobić jeszcze okręcik z papieru. Ojciec mnie kiedyś nauczył. Przez ulicę przetoczył się srebrny dżip, pełen opalonych dziewczyn w kolorowych ciuchach, chłopaków w ciemnych okularach. Mużę mieli super, ale było ją słychać chyba w niebie.

– Jaka woda dzisiaj? Ciepła czy zimna? – ćwierkała nadal matka.

– Zimna – odpowiedziałam zdecydowanie, choć nawet się do niej nie zbliżyłam.

Przyjechałam tu, bo musiałam. Kąpałam się, bo pogoda dopisywała, ale gdyby Bałtyk pokryło lodem, też bym nie narzekęła. Przecież tu nie wakacjowałam, to był obóz przetrwania z matką.

– Coś się spóźniają – burknęłam kawę później, którą wypija mama, i sześć okręcików, które wyprodukowałam. Najładniejszy był ten z zielonej serwetki.

– Przecież są wakacje. – Prawie się uśmiechnęła. Niby do mnie, ale jakoś ten uśmiech pofrunął do sąsiedniego stolika, przy którym siedział brzuchacz z talerzem jajecznicy i lapkiem. Jezu, czy ona zamierza tu flirtować?

– Idę po coś do picia. – Podniosłam się z krzesła i poszłam do baru.

Akurat weszło kilku chłopaków. Jeden z nich miał włosy w kolorze podobnym do Kamilowego, inny kształt jego podbródka, jeszcze inny bluzę – tyle że Kamilowa była ciemniejsza i bez kaptura.

Brawo, zaraz oszaleję. Nieobecność Kamila bolała.

Z powerade'em i w paskudnym nastroju wróciłam do stolika. Siedziała już przy nim blondynka. Niebieska koszulka, turkusowa spódnica. Wyglądała sympatycznie.

– Martynko, to moja Julka – powiedziała czule matka. Przez moment bałam się, że w ramach tej sztuczności pogłaszcze mnie po głowie albo przytuli.

Popatrzyłam spod oka na panią Martynę. Wydawała się miła. Była pulchna, czyli według kategorii matki „spaśna”. Miała odrosty, czyli „zaniedbywała się”.

– Dzień dobry – burknęłam i pacnęłam na krzeselko.

Obstawiałam tekst w stylu: „ale drobnutka”, „jaka dziewczyneczka” albo „no, Julka, nie przesadzasz z tą dietą?”.

– Cześć. – Uśmiechnęła się szeroko i podała mi rękę. – Zaraz powinna tu być Wiktoria, gdzieś się zagubiła.

– W końcu wakacje – zaśmiała się matka. – Julka, proszę cię, skocz do baru po cukier. Będzie szybciej, bo te kelnerki tutaj są niemożliwie powolne.

Skoczyłam. Gdy wróciłam, przy stoliku już siedziała chuda dziewczyna z burzą brązoworudych włosów. Widziałam ją tylko do pasa, bo resztę zasłaniał stolik, ale to, co zobaczyłam, wystarczyło. Koszulka, bluza na zamek i jakaś chuścinka zamotana wokół szyi tak nie pasowały jedno do drugiego, że najpierw mnie to rozbawiło, a potem skrzywiło, bo ta niedbałość przypomniła mi perfekcyjne stroje Marleny.

Marlena.

Koniec czarnych myśli. Mimo wszystko miałam wakacje. Matki zamówiły kawę, serniczki, bo „dieta też może odpocząć”, i cały czas tokowały.

Mama – takie wakacyjne ble, ble, ble. Tak naprawdę o niczym.

Że ma być jeszcze ciepło, wakacje są po to, żeby „naładować akumulatory”, szkoda, że tak krótko trwają, kupiła sobie właśnie rewelacyjny krem do twarzy.

A co najważniejsze, powtarzane niczym refren ze sto razy, to że „dziewczynki na pewno się dogadają”.

Na razie obie milczałyśmy. Ja nad poweradem, ona nad colą.

Pani Martyna – konkrety. Przy zatoce jest wspaniała naleśnikarnia, dobre pieczywo można dostać w kiosku przy Kaperskiej, pyszne małosolne – w warzywniaku za kościołem. Chce zobaczyć fokarium i wystawę zdjęć podmorskich. To na Helu. Może by jeszcze fortyfikacje?

Matka kiwała mądrze głową, że oczywiście, bo fokarium to jedyne takie miejsce w Polsce. Chętnie z nimi pojedziemy, bo „do tej pory jakoś tak się dużo działo” i nie było czasu.

Jezu, ta pani Martyna przyjechała wczoraj, a więcej wiedziała od nas.

Matki już zjadły, wypily i zastanawiały się nad wspólnym wyjściem na plażę. Matka tak to zaczęła planować, że tylko czekałam, kiedy zaproponuje, żeby Wiktorii kupić rękawki, a mnie koło do pływania. Albo na odwrót.

– Chyba pójdziemy do taniej książki, co? Widziałam po drodze – odezwała się czujnie Wiktoria.

– Pewnie. – Też się podniosłam z krzesła.

– Matki, idźcie, znajdziemy się. – Wiktoria już stała. Miała na sobie dżinsowe, wystrzępione spodnie i rozczłapane sandały. – Mamy komórki, jakby co.

– Jakby co? – Pani Martyna uśmiechnęła się do nas. Odwzajemniłam uśmiech. Zdecydowanie była sympatyczna.

– Bo ja wiem? – Wiktoria wzruszyła ramionami. – Zależy, co jeszcze wymyślimy z Julką. – Strzeliła do mnie okiem.

Jeśli tania książka na wakacjach, to może krótki wypad do kościoła?

– To gdzie ta książka? – spytałam bez zainteresowania. Kinga, nasze wakacyjne matki i szalone plany mojej były już za nami.

– Chyba koło kiosku. – Machnęła przed siebie. – Ale my tam. – Pociągnęła mnie przez ulicę. – Idziemy do Funsportu.

– Co to jest?

– Zobaczysz. Oj, nie rób takich min. Wypożyczalnia sprzętu i szkółka. Konkretnie idziemy do chłopaków.

– Jakich znowu chłopaków? – Przystanęłam. No, no. Wiktoria mnie całkowicie zaskoczyła. Ale przynajmniej zanosilo się na to, że będzie moim wybawieniem na tych nudnych wakacjach.

– Takich jednych. Poznałam ich wczoraj. Jak tylko przyjechałyśmy, to od razu tu przygnałam.

– Tu?

– No, tam, do nich – zaśmiała się.

– Po co?

– Bo mam swoje plany. – Znowu do mnie mrugnęła.

– Jakie?

– Mama mi obiecała kurs windsurfingu. Taki zaległy prezent urodzinowy. Wczoraj się wstępnie dogadałam.

Szłyśmy takim jakby deptakiem wzdłuż zatoki, byli rowerzyści, piesi. Po zatoce śmigali ci na deskach i ci z latawcami.

– Pelen odjazd, co? – Uśmiechnęła się do mnie szeroko.

– No – przytaknęłam szczerze i skrzywiłam się. Szkoda, że tu wcześniej nie byłam.

Ale zaraz skrzywiłam się po raz drugi. Czepiam się matki, że taka leniwa, mało energiczna, niewiele daje z siebie, a sama robiłam tak samo. Plaża – Kinga. Kinga – sklep. Plaża – dom. Jak po sznureczku.

– Wiesz, jak tu będę śmigać za tydzień? – roześmiała się. – Ej, Julka, a może byś ze mną spróbowała, co?

– Czego spróbowała?

– Czego? No? Nart. Widzisz, jakie tu warunki. Te góry, ten śnieg – zacmokała w podziwie.

– Nie, no, co ty – spanikowałam. – Nie nadaję się do tego.
– Próboweś kiedyś? – Popatrzyła na mnie z szerokim uśmiechem. Miała krzywe zęby, ale jakoś to nie raziło.
– Nie.
– To skąd wiesz, że się nie nadajesz?
– Nie wiem – przyznałam. – Tak mi się wydawało. I nadal wydaje – dodałam. – A w ogóle to nie ma o czym mówić. Przecież ja za chwilę wracam do Krakowa.
– Szkoda.
– Właśnie – mruknęłam, nie całkiem szczerze.
– Słuchaj! Możesz zostać z nami. Moja mama na pewno się zgodzi. U nas w pokoju jest taka dostawka czy jak to się tam nazywa. Jak się rozłoży, to się robi z tego całkiem wygodne łóżko. Widzimy się pierwszy raz, a ona mi proponuje wspólny kawałek wakacji.
Spontan na maksa.
Bez dwóch zdań.
– Nie mogę zostać. Muszę coś zrobić – powiedziałam zgodnie z prawdą.
Matka zaplanowała mi resztę wakacji. Miałam posprzątać swój pokój. „Ale nie tak, jak to zwykle robisz, po łebkach. Zaczynasz nowy etap życia. W pokoju licealistki”. Według tego, co mówiła, a zaczęła już tak głądzić z końcem maja, te porządki w szafkach, szufladach, na półkach i przede wszystkim w biurku i na biurku, powinny zająć mi ze dwa lata, ale jak już je odwalę, to moje życie zmieni się na lepsze. „Po prostu musisz uporządkować przestrzeń wokół siebie”.
– Oj, zastanów się.
– Nie da się. Uwierz.
– Jeszcze pogadamy. Widzisz tego chłopaka na pomoście?
– Którego? Tam raczej tłoczno... Ludzie z żaglami i bez żagli. Duzi, mali, starzy, młodzi... – Byłam dziwnie rozdrażniona.
– Ten z loczkami... w tych gaciach w palmy – zachichotała. – To Loku. Super wygląda, co? Jak dla mnie, wyglądał, jakby miał na głowie baranią czapkę.
– Może być – powiedziałam na odczepnego. Nie skłamałam. Dwie ręce, dwie nogi, głowa.
– Będzie mnie uczył. Jest instruktorem.
– Fajnie masz – przyznałam szczerze.
Skwasił mi się humor. Wszyscy tu mieli fajnie, tylko nie ja. Byli w wodzie albo dopiero do niej szli. Pływali, spadali z desek, włączili na nie z powrotem, zakładali pianki, zdejmowali je. Energia i dobry humor aż fruwały nad zatoką.
– Ej, ej! – wrzasnęła Wiktoria i machnęła ręką w kierunku Loku. – Zaraz zaczynamy lekcję, pamiętasz?
– Pewnie! – Barani Łeb miał głos jak się patrzy, a raczej słyszy. Majtnął loczkami, ręce zajmował mu ogromny żagiel. – Spotkamy się za parę minut. Przebieraj się.
– Miłej zabawy – powiedziałam. – Czego się życzy? Wiatru? Wody?
– Nie wiem – zaśmiała się i pociągnęła mnie w kierunku drewnianej budy. – Na razie mi życz, żeby mi znaleźli twarzową piankę.
– A czemu nie powiedziałaś matce, że tu idziesz? Tylko kręciłaś, że tania książka? – Przypomniałam sobie, że chciałam już o to zapytać wcześniej, ale mnie zagadała propozycją zostania z nimi.
– Bo ja wiem? Często kłamię – zaśmiała się.
– Jak to? – Aż przystanęłam ze zdumienia.
– Tak to. Sama słyszałaś.

No comments.

Więcej na www.nk.com.pl